

Patron - profesor Janusz Groszkowski



Nestor polskiej radiotechniki, elektroniki, wychowawca wielu pokoleń elektryków, działacz społeczny i państwowy, ale przede wszystkim gorący patriota, Wielki Człowiek.

Absolwent Politechniki Warszawskiej, do końca życia z tą uczelnią związany, w jej murach uzyskał wszystkie stopnie i tytuły naukowe. Tu kształcił kolejne roczniki polskich elektroników. W swoim laboratorium, w gmachu Radiotechniki, pracował nad zagadnieniem generacji i stabilizacji częstotliwości - które to prace zyskały Mu światową sławę. W tymże laboratorium, w latach okupacji hitlerowskiej, rozpoznał system radiowego sterowania rakietami V-1 i V-2 Luftwaffe. Wyniki prac profesora wywiad AK przekazał do Londynu, co pozwoliło na działania antyrakietowe aliantów.

Niezliczoną liczbę publikacji naukowych rozpoczął prof. Janusz Groszkowski pierwszą w świecie książką pt. *Lampy katodowe i ich zastosowanie w radiotechnice*. Do ostatniej chwili życia pracował nad książką o bardzo wysokiej próżni.

Profesor J. Groszkowski był organizatorem życia naukowego w kraju. W 1934 roku stworzył Instytut Radiotechniczny, którym kierował do wybuchu wojny (późniejszy Państwowy Instytut Telekomunikacyjny). Był inicjatorem w 1937 r. pierwszych polskich prób telewizji. Po wojnie przystąpił do odbudowy nauki polskiej, między innymi, jako współtwórca Polskiej Akademii Nauk, której przez wiele lat był prezesem. Od młodych lat Profesor działał społecznie. W latach dwudziestych był współzałożycielem Warszawskiego Radioklubu rozwijającego zorganizowaną działalność radioamatorską w kraju. Był pierwszym prezesem Polskiego Związku Krótkofalarskiego, prezesem Stowarzyszenia Elektryków Polskich, członkiem honorowym wielu stowarzyszeń zagranicznych.

Był także działaczem państwowym, posłem na Sejm, zastępcą przewodniczącego Rady Państwa. Wśród wielu odznaczeń wymienimy tylko dwa: najpiękniejsze odznaczenie

bojowe Złoty Krzyż Orderu Virtuti Militari i najwyższe odznaczenie państwowe – Order Budowniczego Polski Ludowej. Profesor Janusz Groszkowski był Wielkim Polakiem, a przy tym skromnym, szlachetnym, niezłomnym bojownikiem prawdy i takim pozostanie w naszej pamięci.

Dorobek Profesora

Dorobek Profesora obejmuje 361 publikacji i 16 chronionych patentami wynalazków. Owocem prężności naukowej i dydaktycznej są 33 promowane doktoraty, których autorzy - uczniowie Profesora - kontynuują Jego dzieło.

Zakres i wielkość osiągnięć profesora Groszkowskiego wymyka się jakiegokolwiek streszczającej analizie, dlatego przypominamy ledwie próbkę wszechstronnych dokonań:

- **1917 r.** - Jako student IV semestru Janusz Groszkowski publikuje w czasopiśmie Koła Mechaników pierwszy artykuł pt. *Radiograficzne metody badania metali*.
- **1919 r.** - Uzyskuje członkostwo w Stowarzyszeniu Elektryków Polskich, którego od 1936 r. jest prezesem.
- **1923 r.** - Zakłada „Przegląd Radiotechniczny”.
- **1924 r.** - Zostaje kierownikiem Laboratorium Radiotechnicznego PW.
- **1925 r.** - Ukazuje się pierwsza monografia *Lampy katodowe i ich zastosowanie w radiotechnice*.
- **1928 r.** - Broni pracę doktorską *Metoda kompensacyjna kontroli stałości fali*.
- **1929 r.** - Organizuje Katedrę Radiotechniki Politechniki Warszawskiej zostając jej kierownikiem do 1962 r.
- **1935 r.** - Zostaje dziekanem Wydziału Elektrycznego PW.
- **1937 r.** - Stosuje po raz pierwszy na świecie (wraz ze Stanisławem Ryżką) katody tlenkowe w magnetronie.
- **1939 r.** - Tworzy pierwszą na świecie konstrukcję magnetronu metalowego z obwodami wewnętrznymi, katodą tlenkową i korpusem chłodzonym olejem.
- **1945 r.** - Uzyskuje członkostwo polskiej Akademii Umiejętności i zostaje dziekanem Wydziału Elektrycznego Politechniki Łódzkiej oraz zakłada Bibliotekę Wiedzy Telekomunikacyjnej.
- **1951 r.** - Otrzymuje nagrodę Państwową I stopnia w dziale nauki.
- **1952 r.** - Zostaje (jednym z pięciu) członkiem rzeczywistym Wydziału IV Nauk Technicznych nowo powołanej Polskiej Akademii Nauk.
- **1955 r.** - Otrzymuje Nagrodę Państwową I stopnia w dziale techniki za pionierskie prace z zakresu elektroniki półprzewodnikowej.
- **1963 r.** - Zostaje wybrany prezesem PAN (do 1972 r.).

- **1973 r.** - Jest honorowym przewodniczącym Uroczystości Kopernikańskich organizowanych przez Akademię Nauk Stanów Zjednoczonych.
- **1975 r.** - Zostaje honorowym przewodniczącym Komitetu Elektroniki i Telekomunikacji.

Profesor Janusz Groszkowski był członkiem licznych organizacji i stowarzyszeń naukowych w kraju i za granicą, doktorem honoris causa PW, Politechniki Łódzkiej, Politechniki Gdańskiej. Jego prekursorski wkład w rozwój elektroniki światowej w zakresie nieliniowej teorii generacji i stabilizacji drgań oraz pomiaru ultrawysokiej próżni zagwarantował Mu poczesne miejsce w nauce XX wieku. Zostało to uhonorowane przyznaniem Profesorowi członkostwo 6 zagranicznych Akademii.

PROFESOR JANUSZ GROSZKOWSKI

Życiorys

Profesor Janusz Groszkowski – twórca polskiej radiotechniki, uczony o światowej sławie związany był zawodowo z Politechniką Warszawską przez prawie siedemdziesiąt lat swojego długiego życia. Na tej uczelni przeszedł wszelkie stopnie kariery naukowej – od asystenta do profesora zwyczajnego, tytułu uzyskanego w bardzo młodym wieku. Pełnił także funkcję dziekana Wydziału Elektrycznego oraz inicjował powstanie Wydziału Łączności PW.

W 1915 roku został jednym z pierwszych studentów Politechniki Warszawskiej. Jeszcze jako student w 1917 roku rozpoczął pracę dydaktyczną na stanowisku asystenta Katedry Miernictwa Elektrycznego. W 1929 roku, w wieku 31 lat został mianowany profesorem nadzwyczajnym Politechniki Warszawskiej, a w 1935 roku profesorem zwyczajnym (nominację profesorską wręczał Mu Prezydent Ignacy Mościcki) i dziekanem Wydziału Elektrycznego.

Zakres prac badawczych Profesora był ogromny: obejmował metody pomiaru częstotliwości, lampy elektronowe (opracował pierwszy na świecie magnetron metalowy z katodą tlenkową), układy o nieliniowej charakterystyce, stabilizację częstotliwości tych układów i technologię wysokiej próżni.

Najbardziej rozśławiła w świecie Jego osobę praca *The interdependence of the frequency variation and harmonic constant and constant frequency oscillators* opublikowana w 1932 r. Z pracy tej Profesor wyprowadził wzór (zwany również równaniem Groszkowskiego) określający zmiany częstotliwości drgań układu od zawartości harmonicznych. Teoria profesora Groszkowskiego wyprzedziła współczesnych Mu badaczy, którzy początkowo nie rozumieli jej znaczenia. Dopiero ogólny rozwój nieliniowej teorii drgań spowodował, że metoda Groszkowskiego stała się podstawowym elementem

wszystkich poważnych opracowań na temat generatorów lampowych. Z biegiem lat Profesor rozwinął i rozbudował swoją teorię. Pod koniec życia poświęcił się pomiarom bardzo niskich ciśnień i opracował głowicę jonizacyjną, znaną pod nazwą „JG”.

Osobisty wkład Profesora do nauki światowej jest powszechnie znany. Na pierwszym miejscu stawiał swoje prace dotyczące nieliniowej teorii generacji i stabilizacji drgań. Osiągnął w tych dziełach autorytet światowy, czego dowodem był fakt cytowania Jego nazwiska wśród kilku tylko twórców-badaczy tego zagadnienia na świecie, a Jego ostatnia monografia – tłumaczona na kilka języków – stała się dla każdego specjalisty niezbędnym kompendium w skali światowej w zakresie teorii drgań i teorii obwodów elektrycznych.

Za jedne z ważniejszych osiągnięć Profesora należy uznać utworzenie Instytutu Radiotechniki w 1928 r. oraz Państwowego Instytutu Telekomunikacji w 1934 r., z których to instytutów rozwinęła się sieć obejmująca ośrodki badawcze, instytuty oraz biura projektowe. W 1948 roku Profesor Groszkowski podjął problematykę wysokiej próżni, zwłaszcza zagadnienia pomiarów bardzo niskich ciśnień, a nieco później – elektroniki półprzewodnikowej. Osiągnięcia naukowe Profesora w tej dziedzinie są stale cytowane przez wielu autorów w piśmiennictwie naukowym najwyższej rangi światowej.

W 1945 roku, kiedy katedra Radiotechniki Politechniki Warszawskiej wznowiła działalność, Profesor nie odmówił pomocy także innym uczelniom: Politechnice Łódzkiej oraz Wojskowej Akademii Technicznej.

Wart podkreślenia jest fakt, iż na uczelniach, na których wykładał, tworzył instytuty dydaktyczne, które oprócz kształcenia studentów realizowały prace naukowe cenione nie tylko w Polsce, ale i na świecie. Celem prac prowadzonych pod kierownictwem Profesora Groszkowskiego były nie tylko badania poznawcze, ale również działania konstrukcyjne, początkowo w zakresie radiotechniki, następnie zaś w zakresie elektroniki i szeroko rozumianej telekomunikacji.

Ogromnym walorem prac Janusza Groszkowskiego jest ich techniczny charakter, wyrażający się uwzględnieniem realiów technologicznych i konstrukcyjnych. Był jednym z tych profesorów nauk technicznych, którzy nigdy nie przestali być inżynierami.

Janusz Groszkowski był jednak w latach powojennych przede wszystkim nauczycielem i wychowawcą młodych inżynierów i nowych kadr naukowych. Profesor miał wybitny talent dydaktyczny, z którego skorzystały tysiące słuchaczy oraz inżynierów. Jego pasjonujące wykłady budziły wśród słuchaczy zachwyt, profesor po prostu żył tematyką swoich prac naukowych i to można było zauważyć w jego wykładach. Jego wychowankowie do dziś szcycą się tym, że byli Jego słuchaczami. Wykłady nie kończyły się w audytorium, profesor udzielał konsultacji, ukierunkowywał dalsze samokształcenie, służył swoim doświadczeniem, kształtował upodobania i zainteresowania badawcze rozmówcy. Jako

opiekun naukowy kierował wieloma pracami doktorskimi, opiekował się habilitantami, po prostu wychowywał i wychował wiele pokoleń naukowców.

Nawet będąc na emeryturze Janusz Groszkowski nie zerwał kontaktów z Politechniką Warszawską, nie ustały Jego kontakty ze współpracownikami, nie zmieniła się Jego praca i obecność na uczelni.

Jego silna więź z całym środowiskiem akademickim objawiła się w sposób szczególny w latach 1980-1981, kiedy stał się dla nas symbolem walki o etykę i stosunki międzyludzkie w świecie nauki.

Olbrzymi autorytet, jaki uzyskał w życiu naukowym, społecznym i politycznym, sprawił, że Profesor powołany został do pełnienia licznych funkcji społecznych, otrzymał członkostwo różnych akademii zagranicznych. Profesor udzielał się społecznie – brał czynny udział w stowarzyszeniach i towarzystwach inżynierskich, a w 1952r. był jednym z założycieli i członkiem rzeczywistym Polskiej Akademii Nauk, której przez dziesięć lat prezesował. Był też członkiem Warszawskiego Towarzystwa Naukowego.

Trzy polskie uczelnie, w uznaniu jego działalności uczciły Go też nadaniem godności Doktora Honoris Causa, posiadał wiele odznaczeń, spośród których najwyżej cenił sobie Złoty Krzyż Virtuti Militari za udział w walce z okupantem.

Profesor Janusz Groszkowski był człowiekiem niezwykłym i jednym z największych naszych profesorów i nauczycieli. Cechowały Go wrażliwość i ciekawość oraz umiejętność integrowania poszczególnych dyscyplin naukowych, umiejętność syntezy wiedzy oraz zdolność wyciągania nowatorskich wniosków. Jak sam mówił: „Nauka to nie samo zaspokajanie ciekawości i przenikanie tajemnic otaczającego nas świata, lecz także siła życiowa narodu, która w walce o byt decyduje bardziej stanowczo, niż każdy inny oręż”.

Zarówno w pracy dydaktycznej, jak i organizacyjnej, olbrzymią rolę odgrywał wielki urok osobisty uczonego, dobrze znany wszystkim, którzy z Nim współpracowali. Ten czar wynikał z wielkich zalet, głęboko ludzkich, z niezwykłej skromności i szczerego humanizmu, który przejawiał się w niezachwianej wierze Profesora w przewagę dobrych stron natury ludzkiej nad złymi.

HISTORIA ROZSZYFROWANIA PRZEZ PROFESORA JANUSZA GROSZKOWSKIEGO BUDOWY NIEMIECKICH RAKIET V-2

Publikujemy fragmenty wywiadu Profesora Janusza Groszkowskiego pt. *Zawsze byłem sobą* udzielonego Krystynie Jagiełło, a zamieszczonego w „Literaturze” z 30.04.1981 r.

Jedną z największych tajemnic wojskowych II wojny światowej: na czym polega niemiecka rakietą V-2 została rozszyfrowana dzięki polskim profesorom, w tym Januszowi Groszkowskiemu. Informacje przekazane przez AK stały się jednym z najważniejszych wydarzeń dla alianckiego wywiadu, pomogły w bitwie o Londyn. Praca prof. Groszkowskiego udała się nie tylko dzięki jego osobistym talentom i odwadze, lecz także śmiałości wielu innych wybitnych, lecz nieznanym ludzi.

/.../ Z początku nie wiedziałem, że chodzi o V-2. Na jesieni 1943 roku skomunikował się ktoś z Delegaturą Rządu (prof. dr A. Tretiak) z propozycją włączenia się w pewną ważną akcję. Dowiedziałem się jedynie, że jest to szczególnie odpowiedzialna i niebezpieczna akcja. W przypadku mojej zgody na uczestnictwo w niej musiałbym się całkowicie wyłączyć z wszelkich innych spraw konspiracyjnych, w jakie byłem zaangażowany i zgłosić się do prof. Stefana Bryły. Znałem go od dawna jako wspaniałego człowieka, słynnego przed wojną wynalazcę i budowniczego mostów spawanych, w czasie okupacji pracującego na wydziale Architektury. On to właśnie odebrał ode mnie dodatkową przysięgę na tę specjalną akcję, pomimo że uprzednio byłem już zaprzysiężony w związku z inną działalnością. Od prof. Bryły niczego na temat nowego zadania również nie dowiedziałem się. Powiedział jedynie, że ponieważ wynika ono z polecenia Delegatury, musi być bardzo ważne i szczególnie tajne oraz ryzykowne. W kilka tygodni później prof. Bryła zginął, co jednak nie miało żadnego związku ze sprawą, w którą zostałem włączony.

O tym, że zadanie mi powierzone dotyczyło akcji V-2 dowiedziałem się dopiero w kilka miesięcy później, na odprawie. Tymczasem przeżywałem bardzo trudne konflikty wewnętrzne. Proszę sobie wyobrazić: od paru lat biorę udział w konspiracji, w zakładzie politechniki toczą się prace związane ze sprzętem radiowym i nagle muszę zerwać z tym, nie mogąc wytłumaczyć się przed ludźmi dlaczego to czynię. Tym, z którymi miałem kontakt, powiedziałem tylko: „Nie mogę dalej z wami pracować, proszę mnie już nie informować o żadnych waszych pracach”. Nie wolno mi było uczynić nic, aby się usprawiedliwić, bez względu na to, co inni o mnie pomyślą. Nastąpiła parę miesięcy bezczynności.

Wreszcie na wiosnę 1944 roku zgłosił się do mnie łącznik i przekazał wiadomość: w niedzielę mam stawić się w domu profesorskim na Nowym Zjeździe, obok „Kąpieli” i „Fajansa”, (dziś ten dom nie istnieje, mieścił się obok dawnego CRZZ). Łącznik powiedział: o czwartej po południu z tolerancją 5 minut wejdzie pan na klatkę schodową do mieszkania pod numer taki, a taki. Przedtem sprawdzić „czystość” mieszkania. Szpilka pod dzwonkiem. Myśmy wiedzieli, co to znaczy. Jeśli w domu byli sami swoi, gospodarz wtykał „szpilkę” w otworek pod dzwonkiem. Jeśli zaś musiał wpuścić do domu Niemców, przed otwarciem im drzwi wyciągał szpilkę. Przed przybyciem na spotkanie trzeba było w odpowiednim

miejscu pomacać framugę. Zrobiłem to, wyczułem pod palcem ostrze szpilki, zapukałem i wszedłem.

W korytarzu ciemno. Zdjąłem płaszcz, ktoś wziął mnie za rękę i poprowadził do pokoju również ciemnego. – Niech pan nic nie mówi – zastrzegł ów człowiek głosem nienaturalnym, jakby z kluskami w gębie. Sadzają mnie przy jakimś stoliku, wyczuwam w tym pomieszczeniu obecność wielu innych osób, ale nic nie widzę. Po mnie wszedł jeszcze ktoś, potem następny. Wreszcie, po kilkunastu minutach, słyszę głos również bardzo zniekształcony.

Otwieram odprawę. Siedzimy przy czteroosobowych stolikach, na których leżą karty. W razie czego zapalamy światło i gramy w brydża. Jeśli ktoś będzie przemawiał, proszę to robić przykrywając sobie chusteczką usta. Chodziło o to, abyśmy nie mogli rozpoznać się po głosie. Pani chyba domyśla się, po co ta cała heca w środowisku osób szczególnie zaufanych. Prowadzący odprawę zapoznał obecnych z zadaniem, krótko omówił przebieg akcji, poinformował o jej etapach i podziale funkcji. Zakomunikował o przypuszczalnych terminach i zasadach kontaktowania się itp. Tak jak bywa na odprawach wojskowych. Chodziło o przechwycenie, zbadanie i przygotowanie danych o niemieckich rakietach dalekiego zasięgu (znanych później jako V-2), z którymi Niemcy przeprowadzili próby na terenie Polski. Wreszcie prowadzący odprawę zapytał, czy ktoś ma jakieś pytanie lub coś do powiedzenia w sprawie rakiet. I tu znów nasuwał mi się nowy konflikt wewnętrzny.

W latach 1934-39 brałem – wraz z kilkoma kolegami profesorami – udział w pracach Tymczasowego Komitetu Doradczo-Naukowego (TKDN) przy II wiceministrze spraw wojskowych i szefie administracji armii generale Aleksandrze Litwinowiczu. Komitetowi przewodniczył profesor Wojciech Świątosławski. Jednym z problemów, którymi zajmował się ów komitet, było zagadnienie napędu raketowego w zastosowaniu do celów wojskowych. W połowie lat trzydziestych Polska - według oceny specjalistów - była trzecim, po ZSRR i Niemczech, krajem na świecie, gdzie prowadzono prace teoretyczne i doświadczalne nad wykorzystaniem napędu raketowego do wyrzucania dużych mas środków wybuchowych i innych na większe odległości. Komitet przedsięwziął starania, aby uzyskać obszerne informacje o stanie prac nad napędem raketowym w różnych krajach. Dzięki profesorowi M. Wolfkemu, który odbył na polecenie TKDN w roku 1938 kilka podróży po Europie, jako fizyk mieliśmy już dość szczegółowe informacje o stanie techniki raketowej w Niemczech. Prof. Wolfke opracował na posiedzenie komitetu referat na podstawie literatury, patentów, rozmów z fizykami, zwiedzania licznych laboratoriów i fabryk. Jednocześnie Wydział Wojskowy Państwowego Instytutu Telekomunikacyjnego otrzymał polecenie, aby w pracach nad urządzeniami telekomunikacyjnymi uwzględnić sprawy związane z kierowaniem pocisków raketowych. Od pewnego już czasu Wydział ten zajmował się bowiem pracami nad

urządzeniami do zdalnego sterowania za pomocą fal elektromagnetycznych małych obiektów ruchomych. Jednym z ich elementów było odpowiednie szyfrowanie sygnałów służących do kierowania, jak też uodporniania urządzenia odbiorczego na niepożądane sygnały.

Jak więc pani widzi, problem rakiet nie był mi obcy, a nawet miałem o wielu sprawach pewne pojęcie. Ogarnęły mnie zatem podczas odprawy wątpliwości, czy w ogóle powinienem o tym powiedzieć, a nawet czy brać w tej akcji udział. Chodziło tu o bezpieczeństwo kolegów, gdyż nie miałem pewności czy protokoły z ponad 100 posiedzeń TKDN zawierające pełną listę nazwisk osób zajmujących się tymi sprawami, jak też informacje, które posiadaliśmy, nie znajdują się w rękach Niemców. Wówczas w razie wpadki nieprzyjaciel z łatwością unieszkodliwiłby profilaktycznie wszystkich członków TKDN, jak również uczestników akcji V-2. Z drugiej strony byłem prawie pewien, że skoro wraz z kolegami żyję pod okupacją niemiecką przez kilka lat, to tajne dokumenty nie mogły wpaść w ręce Niemców. Po wojnie okazało się jednak, że były one w rękach Niemców, którzy nie wiadomo dlaczego nie zainteresowali się nimi. Spoczęły one gdzieś w skrzynkach przechowywanych w klasztorze w Oliwie wraz z innymi tajnymi dokumentami rządowymi (nie zniszczonymi!), a znalezionymi w Polsce. Niemcy nawet ich nie przejrżeli. Ale na odprawie nie wiedziałem o tym. Siedziałem i rozważałem w myślach, czy powinienem ujawnić swoją przedwojenną działalność. Wszak była także obwarowana tajemnicą i przysięgą, z której nikt mnie nie zwolnił. Powiedzieć o niej teraz, to znaczy poinformować kilkunastu ludzi, z których każdy mógł jutro znaleźć się na Szucha. Nie chciałem również wywoływać popłochu wśród ludzi włączonych przecież w naprawdę niebezpieczną akcję. Nie powiedziałem nic.

Wychodziliśmy z tej odprawy, podobnie jak przyszedliśmy. Chyłkiem, pojedynczo. Dopiero w domu nie wytrzymałem i sprawdziłem w książce telefonicznej adres, pod którym spędziłem tego dnia popołudnie. To było mieszkanie profesora Tretiaka. Czy pani wie, że nawet w wiele lat po wojnie nie zamieniłem z nim na temat tego dnia ani jednego zdania?

W kilka tygodni po odprawie na Nowym Zjeździe zjawił się u mnie łącznik i wyznaczył umówionego dnia na przystanku tramwajowym przy Śniadeckich, koło Politechniki, tam wtedy jeździły tramwaje, spotkanie z człowiekiem, który miał mnie zaprowadzić do mieszkania, gdzie były już przygotowane dla mnie części elektroniczne pocisków (które potem były znane jako V-2). Dla łatwiejszego rozpoznania miałem na przystanku trzymać pod pachą „Berliner Illustrierte”. Rzeczywiście, po chwili podszedł do mnie młody człowiek, może trzydziestoparoletni i zapytał: - Czy tu chodzi osiemnastka? - Nie - odparłem - tu chodzi dwunastka. - No dobrze - powiada - niech pan idzie 10 kroków za mną, jakby coś niewyraźnego, niech pan pryska...

To był Kocjan, słynny konstruktor samolotów, jeden z polskich pionierów. Ale wówczas nie wiedziałem tego. Kocjan zginął w kilka tygodni później, ale nie w związku z V-2. Przypadkowo wpadł za tajną drukarnię.

Podążam więc w pewnej odległości za nim. Dochodzimy do ulicy Skolimowskiego (przy Chocimskiej). Zbliżamy się do budynku, koło którego kręcą się jakieś typy. Mój przewodnik idzie śmiało, rozumiem więc, że to jest nasza obstawa. Zatrzymałem się na półpiętrze kuchennej klatki schodowej, do której weszliśmy. Łącznik zapukał do drzwi. Otworzyła mu jakaś niewiasta i szybko zniknęła w głębi mieszkania. Wszedłem do wnętrza. W małym pokoju służbowym stały na stole dwie skrzynki z blachy aluminiowej w kształcie walizek. Każda ważyła około 10 kg. W jednej znajdowało się urządzenie nadawczo-odbiorcze, w drugiej urządzenie elektroniczne do sterowania rakietą. Obejrzałem je wstępnie. Powiedziałem, jakie przyrządy będą mi potrzebne. Przyrządy politechniczne były znakowane i z tej racji nie mogłem ich w tym mieszkaniu zostawiać. Każdej chwili należało się przecież liczyć z możliwością wyspy. Dostarczono mi następnego dnia mierniki elektryczne bez numeracji.

Pracowałem w tym mieszkaniu przez chyba 10 dni od dziesiątej do pierwszej. Po ogólnym zapoznaniu się z częściami elektronicznymi zabrałem się do zdejmowania schematów i określania parametrów poszczególnych elementów. Niektóre z nich wymontowałem i przynosiłem do politechniki. Nie wolno mi było tych części ani zachować, ani zniszczyć na własną rękę. Były one bowiem oznakowane i tak unikalne, że gdyby wpadły w ręce Niemców, zostałyby zidentyfikowane. Miałem obowiązek przekazywać je po zbadaniu określonej osobie z zakładu metalurgicznego na politechnice, gdzie niepotrzebne już poddawano stopieniu.

Po zdjęciu schematów badałem przede wszystkim oscylatory kwarcowe i układy generacyjne, aby określić częstotliwość urządzeń radiowych. Dane te miały ułatwić ewentualne zakłócenia kierowania lotem pocisku lub nadawanych do niego rozkazów. Jak się później okazało, badane przeze mnie rakiety – jako doświadczalne – miały bardziej skomplikowaną aparaturę elektroniczną niż wyrzucane później na Anglię. Starłem się również zrekonstruować schematy urządzeń sterowniczych i radiowych oraz koncepcje ich działania. Elementy tego urządzenia – trzeba przyznać były najwyższej jakości, w wysokim stopniu zminiaturyzowane, bardzo – jak na ówczesny poziom techniczny – nowoczesne.

Wyniki badań, wraz ze schematami i opisem zawierającym między innymi sugestie co do przeznaczenia różnych elementów, przekazałem wraz z referatem łącznikowi. Dopiero po wojnie dowiedziałem się, w jaki sposób były one transportowane dalej. Materiały pisemne przewożono w Warszawie na dnie wózków dziecięcych. Meldunki do Londynu szły drogą radiową i w postaci mikrofilmów przewożonych przez kurierów. Kompletny zaś materiał

wraz z częściami V-2 poleciał do Londynu samolotem Dakota spod Tarnowa przez Brindisi. Konwojował przesyłkę J.Chmielecki, szef Biura Studiów Gospodarczych Oddziału II AK, jeden z organizatorów całej akcji. Fantastyczny człowiek, tak jak i inni, którzy wykradli nad Bugiem raketę, wieźli ją do Warszawy, przechowywali – narażając co chwilę swoje życie. Akcja była znakomicie zorganizowana, dlatego Niemcy do końca wojny nie mieli o niej pojęcia.

Pracowałem w warunkach kameralnych. W budynku strzeżonym przez „naszych ludzi”. W mieszkaniu zabezpieczonym przez... gosposię. Raz uchyliły się drzwi i do pokoju zajrzała młoda przystojna kobieta. Gosposia, która nam udostępniła mieszkanie. Pękała, jak to się mówi, z ciekawości i zapragnęła mnie ujrzeć, za co dostała potem potężną burę w AK. Ale zanim to nastąpiło, zdołała powiedzieć parę interesujących rzeczy. Otóż była ona gosposią przedwojennego oficera polskiego lotnictwa, który zajmował to właśnie mieszkanie. Na początku wojny zakwaterowano w nim oficera niemieckiego, gosposia pozostała. Jak zrozumiałem z opowieści, potrafiła ona wzbudzić zaufanie swego lokatora. W tych dniach, gdy pracowałem nad V-2, trochę był nawet zdumiony jej troskliwością, ponieważ gospodyni codziennie koło jedenastej dzwoniła do niego i pytała, co też by dzisiaj zjadł na obiad. Chciała w ten sposób dowiedzieć się, czy aby oficer nie wybiera się do domu. Kobieta, o której mówię, była niewątpliwie związana z AK. Na wypadek jednak, gdyby – pomimo tych wszystkich zabiegów czynionych przez nią – oficer zniemacka pojawił się w domu, ludzie z obstawy mieli mnie o tym powiadomić. On zawsze wchodził do domu przez schody frontowe, ja wyszedłbym, jak zwykle, przez kuchenne. Przebadane części V-2 wkładałem do walizki, którą gosposia wkładała między inne leżące na pawlaczu, a należące do oficera niemieckiego.

Nad V-2 pracował zespół profesorów. Ale nawzajem nie wiedzieliśmy o sobie nic. Dopiero po wojnie dowiedziałem się, że profesor Marcei Strudzyński, chemik – badał czynnik napędowy, profesor Bohdan Stefanowski – wyloty dysz. W badaniach tych również brał udział Józef Zawadzki, przedwojenny rektor politechniki.

Nie wiem, czy akcja prowadzona przez nas miała większe znaczenie przy zwalczaniu broni raketowej. Anglicy na podstawie naszych informacji mogli co prawda zakłócać sygnały V-2 i strącać pociski. Sądzę jednak, że informacje nasze miały przede wszystkim znaczenie moralne. Broń przestała być tajemnicza, stała się więc mniej groźna.

Z okazji 80 rocznicy urodzin otrzymałem niedawno list od profesora R.V. Jonesa z Wielkiej Brytanii. Prof. Jones był podczas wojny odpowiedzialny między innymi za sprawy związane z tajnymi broniami aliantów. Przesłał mi swoją książkę poświęconą tej sprawie, a w liście napisał: „Moje najgłębsze podziękowanie za to co Pan i Pana koledzy zrobili, aby nam pomóc w rozeznaniu zagadnienia broni V”.

Raporty o V-2 przekazaliśmy w czerwcu 1944 roku, a do Wielkiej Brytanii części rakiety odleciały w drugiej połowie lipca. Wkrótce wybuchło powstanie. Pierwszego sierpnia rozstałem się z córką Krystyną nie wiedząc, czy jeszcze ją kiedyś ujrzę. Spotkaliśmy się 1 sierpnia przypadkowo na Polnej o godz. 13.00 – Lecę na zbiórkę – powiedziała. Była to oczywiście zbiórka przed godziną W. Ja jej na to: - Przecież dziś zbiórki odwołano. Takie otrzymałem informacje i szedłem do domu. Ona jednak miała rację, pomimo że to ja powinienem mieć pewniejsze wiadomości. Potem jeszcze raz zobaczyłem ją w czasie powstania, gdy wyszła z kanałów na ulicy Belgijskiej. Tam bowiem na Mokotowie spędziłem z żoną te ciężkie chwile. A potem spotkaliśmy się z córką dopiero w lutym, po wyzwoleniu Warszawy. Córka już z mężem, kolegą z AK, od paru lat narzeczoną. W wiejskim kościółku pod Warszawą wzięli po powstaniu ślub, na którym oczywiście nas z żoną nie było.

/.../ Von Brauna poznałem – nie podczas wojny naturalnie, lecz później. W latach siedemdziesiątych na uroczystościach kopernikańskich w Waszyngtonie. Spotkaliśmy się w ambasadzie RFN. Był przy tym obecny ambasador RFN, Werner von Heisenberg, laureat Nobla i moja żona. Von Braun nie był pupilkiem Hitlera, raczej ledwie tolerowany, a przez pewien czas w niełasce. Hitler podejrzewał go o sabotaż. Hitler wszystkich podejrzewał. Trudno powiedzieć, jak było. Po wojnie znalazł się w USA i pracował w NASA jako konstruktor raket, między innymi tych, które wysłano na Księżyc. Nasze spotkanie w ambasadzie RFN było zupełnie przypadkowe. Von Braun, gdy usłyszał moje nazwisko uśmiechnął się: - No, wreszcie poznaję człowieka, z którym pracowaliśmy po przeciwnych stronach. Powiedział, że gdy po wojnie dostał od Anglików nasze raporty, zdumiał się, że tak dokładnie rozpracowaliśmy jego wynalazek. W swoich pamiętnikach zresztą von Braun napisał, że V-2 rozszyfrował profesor Groszkowski z Politechniki Warszawskiej i podane przeze mnie informacje całkowicie odpowiadały prawdzie. /.../

FRAGMENTY NIEPUBLIKOWANYCH WSPOMNIENÍ PROFESORA

/.../ W domu żyłem w atmosferze naukowo-technicznej, korzystałem z biblioteki. Biblioteka wówczas, to były lata 1906, 7, 8, była stosunkowo skromna, ale pewne książki wpłynęły na ukształtowanie moich zamiłowań. Poza tym, tak się złożyło, że mój kilka lat starszy brat uczył się w Szkole Wawelberga i Rotwanda, w szkole budowy maszyn i elektrotechniki, bo to była jedyna wówczas szkoła polska, którą uważano za rodzaj wyższej szkoły. Brat miał także zainteresowania techniczne i dzielił się ze mną tym, czego nauczył się w szkole, dyskutował chociażby dlatego, żeby samemu lepiej się w to wciągnąć, jednocześnie przedstawiał mi ciekawsze rzeczy. To pomnażało jeszcze moje zainteresowanie naukami

ściśle, więc gdy otworzono w 1915 r. Politechnikę Warszawską, miałem bardzo konkretne i określone zamiłowania i wiedziałem, że będę studiował na Wydziale Elektrycznym. Niestety, tego wydziału na początku nie było, był tylko Wydział Mechaniczny, na którym przewidywano w najbliższych paru latach otworzenie oddziału elektromechanicznego. Oczywiście, to nie było wielkim nieszczęściem, dlatego że pierwsze dwa lata studiów były wspólne dla mechaniki i elektrotechniki, tak że gdy doszedłem do trzeciego roku, zaczęto przygotowywać oddział elektryczny. Gdy po przerwie wojennej w 1921-21 r. kończyłem Politechnikę Warszawską, kończyłem już Wydział Elektrotechniczny. To przygotowanie, jakie uzyskałem w pierwszych latach, które wyraźnie różni się od dzisiejszego programu naszych uczelni, bardzo mi było pomocne w życiu. Dało mi nie tylko dobrą orientację w sprawach mechanicznych, konstrukcji mechanicznych, ale również pewne pojęcie z zakresu budownictwa, a więc to, co mi się w życiu zawsze później przydawało przy ocenie rozwiązań dla budowy laboratoriów, z którymi miałem do czynienia, jak i w moim życiu codziennym. Oczywiście przedmioty podstawowe: fizyka, chemia, podstawy elektrotechniki były prowadzone przez doświadczonych profesorów, może jeszcze wówczas bez jakichś wyższych tytułów naukowych. Byli to przeważnie inżynierowie z praktyki, z przemysłu, poza matematykami, którzy mieli oczywiście te tytuły naukowe. To byli ludzie wysokiej klasy, którzy bardzo konkretnie prowadzili wykłady i egzekwowali również w sposób bardzo konkretny.

Wojska niemieckie wkroczyły do Warszawy 1 sierpnia 1915 roku. Już w połowie września w obecnie mieszkalnych budynkach PW od ul. Koszykowej 75 na parterze zorganizowano pierwszy sekretariat Politechniki Warszawskiej. Tam odbywała się rejestracja kandydatów. Jeszcze było dużo rzeczy niepewnych, jeszcze nie było wszystko skryształizowane nawet u organizatorów uczelni. Byli to częściowo profesorowie szkół średnich, inżynierowie z przemysłu, członkowie stowarzyszeń technicznych, profesorowie Wolnej Wszechnicy Polskiej i niektórzy profesorowie z Uniwersytetu Warszawskiego, który został w 1914 roku ewakuowany w głąb Rosji. Powstawały pewne plany dopiero jak ma wyglądać PW, niemniej przyjmowanie studentów już się odbywało. Sama rejestracja, bez jeszcze konkretnych określeń daty rozpoczęcia.

Gmachy Politechniki były częściowo jeszcze zajęte przez wojska niemieckie. Na przykład w Gmachu Głównym był niemiecki szpital wojskowy. Jednym z gmachów, które dano do dyspozycji uczelni, był gmach Fizyki. Częściowo także oddano budynek Chemii, wykłady odbywały się też częściowo w budynku profesorskim. Budynek profesorski był zwolniony w dużym stopniu przez profesorów Rosjan, którzy ewakuowali się do Rosji i można było korzystać z niektórych sal. Pamiętam, że wykłady prof. Straszewicza,

profesorów z matematyki odbywały się w pierwszych latach w tym właśnie gmachu mieszkalnym.

Moje powiązania z Politechniką Warszawską datują się mniej więcej od roku 1905, 1906. Były one natury czysto prywatnej. Mój wuj był sekretarzem w Instytucie Politechnicznym cara Mikołaja II. To była politechnika rosyjska, niemniej szereg urzędników i profesorów nawet było Polakami. Jako sześć-, siedmio- czy ośmioletni chłopiec często przebywałem na terenie budynków profesorskich. Mój wuj mieszkał w tym budynku, w którym obecnie ja mieszkam. Tak się składa, że w tym samym bloku mieszkalnym i w tym samym ogrodzie, gdzie teraz wychodzę na spacer z psem, bawiłem się jako mały chłopiec lat temu prawie siedemdziesiąt. Nawet niektóre drzewa, które tu spotykam, przypominam sobie jeszcze z tamtego okresu, gdyż mają pewne charakterystyczne kształty. Zachowało się parę egzemplarzy drzew o charakterystycznych kształtach, spiralnie skręcone.

Teren Politechniki był interesujący dla nas chłopców jeszcze z innego względu. Politechnika właściwie kończyła się tutaj, gdzie stoi ten budynek, w którym obecnie jesteśmy. Od tego miejsca, od ulicy, która obecnie nazywa się Al. Niepodległości, a wówczas nazywała się ulicą Topolową, za tym budynkiem rozpościerał się stary cmentarz, tzw. cmentarz Świętokrzyski. Przedostawaliśmy się jako chłopcy przez wyrwy w parkanie i buszowaliśmy wśród krzaków, wśród drzew, po takim bardzo zapuszczonym terenie, spotykając od czasu do czasu stare groby jeszcze ze starymi rosyjskimi czy rosyjsko-polskimi napisami. Były groby z roku 1831, z okresu powstania. Dla nas to była wielka atrakcja, bo to był teren duży, dziki. Można było się bawić. Był to dla nas teren bardzo przyjemny i niezmiernie cenny. /.../

/.../ Dyplom uzyskałem w roku 1922 jako jeden z pierwszych trzech dyplomów Politechniki Warszawskiej na Wydziale Elektrotechnicznym. Studia zacząłem w 1915, skończyłem w 1922 r. Wynika to stąd, że między rokiem 1918 a 1921 te trzy lata były w dużym stopniu wykreślone ze studiów wskutek działań wojennych. /.../

/.../ Kończąc Politechnikę byłem już na pewnym stanowisku w wojsku: kierowałem laboratorium wojskowym – Wojskowym Laboratorium Radiotechnicznym. Miałem udział w organizowaniu wojskowego przemysłu radiotechnicznego, a równocześnie prowadziłem na Politechnice wykłady. Byłem najpierw asystentem, później do 1927 r. wykładowcą. W 1928 r. zrobiłem doktorat, zostałem zastępcą profesora, a w 1929 r. profesorem nadzwyczajnym. W 1935 r. zostałem awansowany na profesora zwyczajnego.

W 1928 r. rozszedłem się z wojskiem, przeszedłem całkowicie na Politechnikę, ale w tym okresie (1928/1929r.) organizowałem Instytut Radiotechniczny. Instytut Radiotechniczny w Warszawie była to akcja społeczna. Był on instytutem badawczym. Ja byłem jednym z organizatorów i kierowników od 1929 do 1933 r., bo w 1933/34 został ten Instytut upaństwowiony, połączony z laboratoriami technicznymi przewodowymi i utworzono

Państwowy Instytut Teletechniczny przy Ministerstwie Poczty i Telegrafów. Zostałem dyrektorem tego Instytutu i prowadziłem go do wybuchu wojny w 1939 r. Zostałem ewakuowany z nim na kresy wschodnie, niestety czasowy upadek państwa polskiego przerwał możliwość działania w tym zakresie.

W okresie okupacji Politechnika Warszawska została zamieniona na tzw. PWST - Hochschule Staatliche Fachschule Warschau. Na ogół po wojnie 1939 r. gmachy Politechniki nie były specjalnie zniszczone, także funkcjonowała ta PWST. Została zorganizowana właściwie dopiero w 1942 r. Ja jesienią 1942 r. zostałem do niej zaangażowany jako wykładowca, lehrer – tak było napisane w legitymacji. Prowadziłem wykłady, które nazywały się technika wielkiej częstotliwości, urządzenia akustyczne. Była to właśnie radiotechnika. Dyrektorem tej szkoły był profesor niemiecki, inwalida z I wojny światowej, bez nóg, prof. Guttinger. Trzeba powiedzieć, że on się bardzo przyzwoicie zachowywał. Pamiętam pierwszą z nim rozmowę po tym zaangażowaniu mnie. Powiedział wtedy: *„Sprawa jest bardzo trudna, dlatego że pana przedmiot, radiotechnika, może być narażony na podejrzenia. Może zechciałby Pan więc cały sprzęt, który służy do nadawania, zabezpieczyć, żeby żadne sygnały radiowe nie wydostawały się z gmachu. Należy tak prowadzić ćwiczenia, laboratoria, żeby wszystko się odbywało w zamkniętych obwodach, żeby nie promieniowało na zewnątrz. Liczę na to, że nie będziecie odbierali audycji zagranicznych, a więc zabezpieczycie też te odbiorniki, które mogą służyć do odbioru audycji zagranicznych, ażeby nie dostawały się w niepowołane ręce.”*

Kontakt z nim był nie za częsty, odbywał się raz na miesiąc mniej więcej. Bardzo było ciekawe jego pierwsze spotkanie z personelem wykładowczym Politechniki. Odbyło się w Audytorium 10, o ile sobie dobrze przypominam, w Gmachu Głównym, gdzie zebrał wszystkich pracowników i urzędników, wykładowców i asystentów, tych którzy byli zaangażowani. Miał wtedy krótkie przemówienie, bardzo charakterystyczne. Zaczął od tego, że przeprasza, iż nie mówi po polsku, ale pochodzi z tej części Niemiec, odległej od nas. Dał do zrozumienia, że nie jest Prusakiem, tylko pochodzi z Bawarii czy innej części. Powiedział: *„Czasy są wojenne, musicie się oczywiście z tym liczyć. Ja, jeżeli będziecie tylko lojalnie spełniali to, czego będę od was wymagał, mogę zapewnić, że będę równocześnie was tu chronił i bronił.”* I rzeczywiście trzeba powiedzieć, że zachowanie jego było bardzo poprawne. Po pewnym czasie dostał pomocnika, wicedyrektora. Ten już był mniej przyjemny, o takim oryginalnym nazwisku: Friederici, ale to był bardzo nieprzyjemny facet. Opowiadano mi, że podczas powstania, gdy przebiegała tutaj linia frontu, tego Guttingera, kalekę przeprowadzono i oddali go powstańcy Niemcom. Natomiast z tym drugim były jakieś przejścia, nie wiem jak się to skończyło.

Sylwetkę Guttingera charakteryzuje tego rodzaju zdarzenie: mianowicie członkowie ruchu oporu, AK zabrali Guttingerowi samochód. Jego samochód był parkowany na terenie Politechniki przy wejściu do Gmachu Głównego. Ponieważ Guttinger był kaleką i chodził o kulach na protezach, miał samochód skonstruowany do prowadzenia przez kalekę. Samochód stał zawsze bardzo blisko Gmachu Głównego, ażeby Guttinger miał blisko ze swego gabinetu. I kiedyś mu ten samochód zabrali sprzed Gmachu Głównego i używali przez 24 godziny. Potem podrzucili gdzieś, zdaje mi się, że na ulicy Mazowieckiej. Policja niemiecka go znalazła i zwróciła się do Guttingera z pytaniem, skąd się ten jego samochód tam wziął. Guttinger, żeby uratować i swoją sytuację i młodzież Politechniki, powiedział, że pojechał tam i później kolega go przywiózł do domu, więc zostawił samochód. Wiem, że później przeproszano go przez jakąś delegację za tę kradzież. Ale to charakteryzowało faceta. Trzeba powiedzieć, że on istotnie dbał w miarę możliwości o to, żeby na uczelni było spokojnie i myśmy przetrwali stosunkowo bezboleśnie, jeśli chodzi o teren Politechniki, ten okres okupacji.

Były momenty wprost bardzo dramatyczne. Któregoś dnia Politechnika została otoczona przez wojsko i żandarmerię niemiecką dla przeprowadzenia rewizji. Istotnie w różnych gmachach przeprowadzono rewizję. Przy tej okazji niektórzy z personelu oberwali, ale to były czysto fizyczne, stosunkowo niezbyt przykre wypadki. I tak się złożyło, że do nas nie doszli, nie dostali się do tego gmachu. Wynikało to z przypadkowych, szczęśliwych układów; mianowicie ten gmach jeszcze przed przebudową miał małe, nie zwracające uwagi wejście. Niemcy, którzy przeprowadzali rewizję, przypuszczali, że wejście do tej części gmachu jest z Gmachu Głównego, z tej części głównej, a tamto myśmy pozastawiali szafami z zupełnie innych względów, żeby się oddzielić. Gdy Niemcy doszli do tych zamkniętych drzwi, zobaczyli szafy uznali, że już cały gmach sprawdzili. Dlatego się do nas nie dostali. Na całe szczęście, bośmy tu mieli różne zakazane rzeczy. Gdyby przeprowadzali rewizję w naszej części, byłoby się bardzo smutno skończyło i wydaje mi się, że byśmy dzisiaj nie rozmawiali. Niemniej, gdyśmy się dowiedzieli o tym, że Niemcy są na terenie Politechniki, zadzwoniłem do Guttingera, żeby przysłał kogoś do nas, kto by wytłumaczył posiadanie przez nas tego sprzętu, który był sprzętem niedozwolonym, zakazanym. Nim Guttinger zorganizował to przesłanie, ten nalot już się skończył. Myśmy szczęśliwie uniknęli rewizji.

Co się tu działo w tym czasie, to zupełnie inny rozdział, o jakim już gdzieś była mowa. Myśmy tu mieli mnóstwo zakazanego sprzętu, myśmy ten sprzęt lokowali, chowali. Było nas wszystkiego trzech pracowników, oprócz mnie był profesor Ryżko i mechanik Władysław Szymczyk. On głównie miał sprzęt niedozwolony, bo poprzedniego dnia dostał pewną partię sprzętu do montażu, nadajników radiowych dla ruchu oporu. Posiadanie ich było wysoce niebezpieczne. Poza tym były lampy radiowe do tych nadajników. Jakoś to

próbowaliśmy zlikwidować. W takich koszykach, pudełkach powpuszczaliśmy do kanałów wentylacyjnych na drutach. Natomiast te niebezpieczne płyty z nadajników wymontowaliśmy i wsunęliśmy pod ciężką szafę, pełną sprzętu. Zrobiliśmy to we trzech, gdy później, po dwóch dniach, trzeba było to wydostać, trzeba było sprowadzić do tego sześciu ludzi. Jest to chyba przykład, jak w potrzebie człowiekowi przybywa sił.

Jeżeli chodzi o tajne nauczanie, to ja byłem mniej w to włączony. Ponieważ w pewnym okresie miałem bardzo specjalne zadanie, musiałem się wyłączyć z innych działań niebezpiecznych, zarzucić również współpracę z innymi odcinkami ruchu oporu i dlatego też nie angażowałem się w tajne nauczanie na terenie Politechniki, żeby nie narazić tych innych spraw. W każdym razie, jeżeli chodzi o nauczanie radiotechniki na Politechnice, to odbywało się ono dokładnie według kursów programów przedwojennych. Oznacza to, że myśmy się nie stosowali do tych zaleceń, jakie otrzymywaliśmy z niemieckiego Wydziału Nauki, tylko realizowaliśmy program na wysokim poziomie, tak samo, jak to było prowadzone przed wojną. Natomiast nikt, jak to się mówi, specjalnie nas się o te rzeczy nie czepiał, tak, że gładko przechodziło mimo wielokrotnych przestróg Guttingera, żeby nie zapominać, że to nie jest Politechnika, tylko szkoła techniczna i poziom powinien być do tego dostosowany. Oczywiście laboratoria były identyczne, jak przed wojną, wykłady były identyczne, natomiast studenci mieli podwójne notatki; jedne były na tym wyższym poziomie. Przedmioty były tak pomyślane, że miały tylko inną nazwę, ale obejmowały to samo. Słuchacze PWST już na wiosnę 1945r. przystąpili do normalnych egzaminów dyplomowych i prawie wszyscy uzyskali normalne stopnie inżynierów, które później zostały zmienione na magisterskie. /.../

Fragmenty wypowiedzi Profesora

/.../ Bo czyż wtedy entuzjastom radia, a wcześniej jego twórcom, mogło wprost się pomieścić w głowach, że po latach, zdawałoby się latach dalszego, intelektualnego rozwoju ludzkości, wynalazek ten, umożliwiający bezprzewodowe porozumiewanie się i przyczyniający się do zwiększenia się na lądzie, morzu i w nieograniczonej prawie przestrzeni będzie używany na szkodę ludzkości, dla wyrządzenia jej krzywd?

- Że ta ludzkość wyda z siebie siły wsteczne – z jednej strony – wykorzystujące radiofonię do szerzenia nieprawdziwych informacji, z drugiej zaś – „piratów eteru”, dla których jedyną drogą przeciwdziałania treści tych audycji będzie zagłuszanie najrozmaitszymi sposobami?

- Że fale elektromagnetyczne, służące do przesyłania – na miliony kilometrów – dźwięków i obrazów, dla radości i dobra ludzkości, będą używane do kierowania pociskami niosącym zniszczenie i śmierć? /.../

/.../ Z obrzydzeniem myślę o najbardziej ponurym okresie mego życia, gdy w roku 1971 – sądząc, iż będę mógł służyć Polsce i jej nauce, dałem się namówić na objęcie funkcji przewodniczącego OK FJN i zastępcy przewodniczącego Rady Państwa. I chociaż nie zrobiłem tego dla awansu lub kariery, chociaż usiłowałem przeciwdziałać złu... i chociaż w proteście przeciw nadużyciom w nauce i w wymiarze sprawiedliwości zrzekłem się swych funkcji w OK FJN, a w przeddzień uchwalenia Konstytucji złożyłem mandat posła i z-cy przewodniczącego Rady Państwa – co przed społeczeństwem i posłami zatajono – nie przestałem uważać, że ta kolaboracja była największym błędem mego życia. /.../

/.../ Po latach usiłowałem przeciwdziałać złu, protestowałem przeciw nadużyciom w nauce i wymiarze sprawiedliwości. Docierały do mnie skargi i zażalenia kierowane do Rady Państwa, przede wszystkim dotyczące nauki polskiej, łamania podstawowych norm etycznych i moralnych. Zwraçałem niejednokrotnie na to uwagę kierownictwu partii i rządu, usiłowałem wyjaśnić wiele spraw ludzkich. Niestety, skuteczność moich interwencji była znikoma. /.../

/.../ Uważam, że nie nowe dotacje, nie nowe schematy organizacyjne i metody zarządzania, formy planowania, finansowania i sprawozdawczości, ku czemu skłaniać się są skłonni administratorzy nauki, ale sprawy etycznej postawy polskich uczonych są obecnie najważniejsze. Najpilniejszym zadaniem jest pozbycie się ze środowiska naukowego osób nieuczciwych i nie posiadających kwalifikacji, jak również uniemożliwienie nadawania takim osobom tytułów naukowych. /.../

/.../ Nikt z nas nie jest bez winy, bośmy nie wykorzystali swoich autorytetów, aby przeciwdziałać niekompetencji, nieuctwu i nieuczciwości rządzącej klikii. /.../

/.../ Zdolności – zdolnościami, zamiłowanie – zamiłowaniem, ale bez wysiłku, bez ogromnego wkładu pracy niczego nie można osiągnąć. Każdą wolną chwilę, jaka jeszcze mi zostaje, spędzam w swej pracowni w Politechnice. To ona umożliwiła mi rozwijanie działalności dydaktycznej i badawczej, działalności będącej źródłem największej radości całego mojego życia. /.../

/.../ Mam pewne rozeznanie w środowisku naukowym. Uważam, że podstawowym warunkiem każdego pracownika nauki jest jego strona, sylwetka etyczna i moralna. Człowiek, który ma postawę taką właśnie, nigdy nie będzie złym uczonym, bo z chwilą, gdy on się zorientuje, że nie ma kwalifikacji, nie ma danych na to, żeby być uczonym – zrezygnuje z tej funkcji. Natomiast niemający tej moralności, etyki, będzie działał, będzie fikcyjnie działał, pozornie, będzie oszukiwał, będzie niszczył prawdziwych uczonych, żeby jemu nie

przeszkadzali. To jest właśnie przykład i moim zdaniem podstawowym warunkiem na każde stanowisko jest postawa i sylwetka moralno-etyczna człowieka. Oczywiście to jest trudne, bo można powiedzieć, że takich ludzi może nie być dostatecznej ilości. Ale to zależy od społeczeństwa. Jeżeli społeczeństwo będzie zdrowe, to znaczy samo będzie w dostatecznym stopniu moralno-etyczne, będzie eliminować te jednostki. /.../

/.../ Mówiliśmy dwoma językami. Jednym językiem, jak gdyby urzędowym, językiem dla władzy, językiem na zebraniach, a innym językiem mówiliśmy między sobą, na co dzień, w domu. Otóż ta dwoistość języka była równorzędna z dwoistością moralności. Inna była moralność wewnętrzna ludzi i inna była moralność na użytek praktyczny, ażeby utrzymać swoją egzystencję, ażeby móc przeżyć. /.../

/.../ U nas, im ktoś większy spryciarz, im ma większe chody, im jest bardziej widziany u czynników możnych, tym on się cieszy większym uznaniem. Pogardza się często człowiekiem uczciwym, moralnym, uważa się go za niedołęgę. Nie warto z nim utrzymywać stosunków, bo on nie pomoże. Natomiast tego spryciarza, który ma na sumieniu nawet jakieś przestępstwa, uważa się za bohatera, warto z nim mieć dobre stosunki, bo on może pomóc. Przecież wszystko polega na manipulacji, na stosunkach, na kumoterstwie, przecież bez kumoterstwa nic się nie dostanie. /.../

/.../ A jeżeli chodzi o demoralizację - skąd ona wyniknęła? Ona wyniknęła z braku praworządności. Dlatego że uczciwy człowiek nie mógł się spodziewać ochrony ze strony prawa. I ten człowiek uczciwy, który widział nieuczciwość innych – przegrywał. Człowiek, który zwróci się o ochronę do sądów, nie ma żadnych szans, że racja zwycięży. Z chwilą, gdy się dopuszcza do naruszenia praworządności, podcina się podstawy egzystencji nie tylko państwa, ale i całego narodu. /.../

/.../ Jeżeli się zada w nauce pytanie właściwie, to i odpowiedź jest właściwa. Jeżeli odpowiedź jest niewłaściwa, to nie natura oszukała człowieka. Człowiek ją może oszukać, ona nigdy nie oszuka. /.../

/.../ Trzeba zwrócić społeczeństwo bardziej na zewnątrz, na jakieś cele głębsze, cele mniej realne, takie które by dały inną satysfakcję, nie z jakiegoś dążenia za materialnymi dobrami, ale za jakimiś innymi - duchowymi. /.../

/.../ Młodzież była, jest i będzie usposobiona krytycznie względem otaczającego ją świata. Jest to chyba objaw dodatni, stanowiący jeden z elementów postawy ludzkiej. Co stałoby się, gdyby młodzież miała od razu te cechy, które są właściwe starszemu pokoleniu? Nie szkodziłoby, gdyby część młodzieży swoje spojrzenie krytyczne skierowała czasem na siebie. /.../

MÓWIĄ O PROFESORZE

Tadeusz Kotarbiński: /.../ Zawsze na stanowisku, zawsze punktualny, nieobecny na posiedzeniu chyba tylko wtedy, kiedy dla przybycia na nie trzeba by się chyba rozpołowić, gdyż z pewnością wtedy wzywał Pana do obecności gdzie indziej jakiś przemożny obowiązek, nigdy kaprys, nigdy podszept pobłażania dla swego organizmu, który wszak nieraz imperatywnie domaga się odpoczynku. Oto jakim był w pracach kierowniczych Akademii Wiceprezes Profesor Groszkowski. Ale był i jest jeszcze, kimś więcej: zacnym, dobrym, niezrównanie delikatnym i życzliwym dla bliźniego człowiekiem, uczynnym i przyjaznym kolegą, jednym z takich ludzi słonecznych, którzy szerzą w koło siebie pogodę. Tak, Szanowny i Drogi Profesorze, mieliśmy rację powierzając Panu prezesurę Akademii. Uczyniliśmy to dla jej dobra, dla dobra nauki w naszym kraju, a wreszcie z potrzeby serc naszych. /.../

Stanisław Ryżko: /.../ W ciągu wielu lat mojej przyjaźni naukowej i osobistej z Januszem Groszkowskim wiele chwil poświęciliśmy problemom bardzo odległym od techniki. Najbardziej zajmowały Go sprawy pochodzenia człowieka zarówno w świetle teorii ewolucji, jak i badań archeologicznych. Słowem rozwój ludzkości. A takim prawdziwym hobby, i to datującym się od dzieciństwa, jest językoznawstwo; badania pewnych zależności między dźwiękiem a treścią słów. Opracował nawet maszynę elektroniczną do pisania o wielosylabowych klawiszach, która umożliwiałaby szybsze pisanie. Jest rzeczą zrozumiałą, że aby opracować podobny prototyp, trzeba wiele żmudnych badań nad językiem polskim, różnymi tekstami literackimi, naukowymi i technicznymi. Niewielu jest dzisiaj uczonych z zakresu nauk ścisłych o tak szerokich horyzontach, którzy na sprawy techniki patrzą oczami prawdziwego humanisty. Technika w pojęciu Janusza Groszkowskiego ma przede wszystkim służyć człowiekowi, nie może nad nim panować. /.../

Bohdan Paszkowski: /.../ Janusz Groszkowski był nie tylko wielkim uczonym, promotorem nowych w Polsce technologii i wybitnym nauczycielem akademickim, ale również wrażliwym humanistą czującym na radości i krzywdy bliźnich, wielkim społecznikiem i wychowawcą. /.../

/.../ Często w rozmowie z Profesorem miałem możliwość analizowania właściwych postaw nowoczesnego człowieka w układzie: nauka, technologia i społeczeństwo. Pamiętam wiele z Jego cennych wypowiedzi; jedną z nich był cytat Aleksandra Świątochowskiego: *Nauka to nie samo zaspokojenie ciekawości i przenikanie tajemnic otaczającego nas świata, lecz także siła, siła życiowa narodu, która w walce o byt decyduje bardziej stanowczo niż inny oręż.*

Następna wypowiedź dotyczyła konieczności zachowania pewnego umiaru we własnych żądaniach. Mówił, że czym innym jest wolność osobista i prawa obywatelskie, a czym innym jest wolność od obowiązków. Nikt nie może zwolnić nas od odpowiedzialności za jakość pracy, bo sytuacja kraju tego obecnie w pierwszym rzędzie wymaga. Mówił, że przecież człowiek zanim stał się konsumentem, był twórcą, był producentem i dlatego nawet wielka mnogość łatwo osiągalnych, tanich dóbr nie zaspokoi w człowieku podstawowej ludzkiej potrzeby – radości z własnej pracy, dumy z własnych osiągnięć. Zawsze twierdził, że badacz-naukowiec, to człowiek, który jest zobowiązany traktować swoją uprzywilejowaną sytuację i pozycję społeczną nie jako źródło korzyści osobistych, ale jako przedmiot obowiązków. To on właśnie – badacz – buduje wokół nas przestrzeń i tworzy nowe epoki. /.../

Andrzej Zieliński: /.../ Profesor Janusz Groszkowski należał – już za swego życia – do najpopularniejszych i najbardziej szanowanych ludzi w społeczeństwie polskim. Choć dystansował się zawsze od poczynań politycznych, miał bardzo duży wpływ na nastroje społeczeństwa. Znany był z odwagi cywilnej i poczucia wielkiej odpowiedzialności za wypowiedziane słowa. Wszystkie ważniejsze wypowiedzi pisał sam i sprawdzał ścisłość i trafność ich cytowania w środkach przekazu. Profesor był skromny w sposobie życia, bardzo wrażliwy na niesprawiedliwości i krzywdy ludzi, zwłaszcza w środowisku naukowo-technicznym. Znany był w Polsce z zaangażowania się w głośną sprawę nieetycznego zachowania się i plagiatu jednego z pracowników naukowych. Dobro ogółu stawiał zawsze przed swoimi sprawami. Korzyści materialne nigdy nie stanowiły dla Niego pobudek działania. Choć kierował się poczuciem realizmu w całej swojej działalności, nigdy nie przystawał na kompromisy, które by naruszały podstawowe idee ludzkości. Profesor Janusz Groszkowski był i zawsze pozostanie w pamięci Polaków jako Człowiek pisany z dużej litery. /.../

Jan Ebert: /.../ Kim był dla nas Profesor Janusz Groszkowski?

- dla rodziny był mężem, ojcem, który niewątpliwie służbę krajowi i nauce stawiał przed życiem rodzinnym;
- dla bliskich współpracowników, którzy przeżyli okupację – towarzyszem walki konspiracyjnej, dla innych szefem i przełożonym, ale zarazem przyjacielem, życzliwym i taktownym doradcą;
- dla jeszcze liczniejszych – profesorem, wykładowcą, który umiał rozwijać oryginalne rozumowanie wprost na oczach słuchaczy, przy tablicy, czy na konsultacjach;
- dla większości naszych studentów – Profesor jest postacią historyczną, jednak bardzo wyrazistą i osadzoną w realiach, podobnie jak dla uczniów szkół zawodowych im. Janusza Groszkowskiego, w których wychowawcy włożyli wiele trudu, aby młodzieży przybliżyć ideały i postać Profesora;

- dla wszystkich był (i jest) uczonym światowej sławy, Wielkim Polakiem, niekwestionowanym autorytetem intelektualnym i moralnym;
- dla innych, co mieli okazję spotkać Go osobiście w swym życiu - skromnym, życzliwym i pełnym uroku człowiekiem, wykazującym młodzieńczy zapał i wiarę w celowość podejmowania spraw pozornie beznadziejnych, jeżeli tylko był wewnętrznie przekonany o ich słuszności. /.../

Piotr Szwemin: /.../ Profesor śledził zawsze z żywym zainteresowaniem wszelkie publikacje z dziedziny, w której aktualnie pracował. To była część warsztatu pracy. W Jego gabinecie na wprost biurka stał stół, a na nim pliki artykułów oprawionych oddzielnie i opisanych przez Niego własnoręcznie. Artykuły, w tamtych skromnych czasach, oprawiał Profesor zwykle w gruby szary papier. Wśród wielu takich szarych okładek, któregoś wiosennego dnia 1978 roku, leżała na stole jedyna - pomarańczowa.

Chciałbym pokazać coś ważnego - powiedział do mnie Profesor i otworzył tę okładkę, a w niej, na wycinku z tygodnika, zobaczyłem fragmenty z nie publikowanej wtedy jeszcze w Polsce książki Ivo Andrića *Znaki przy drodze*. Jedna z ostatnich refleksji pisarza zakreślona była ręką Profesora:

...Szczęście to uśmiech, spokojny blask, nie na mojej twarzy, ale na pięknych twarzach, które przechodzą obok mnie. Życzę wam wszystkim, abyście przeszli przez ten uśmiech jak przez tęczę, którą widać tylko wtedy, gdy człowiek jest poza nią. Lecz dajcie go innym, bo rychło się wypala. I nie żałujcie...

Bo prawdziwy uśmiech – powiedział Profesor po chwili – to najpiękniejsza z rzeczy jaką możemy ofiarować swoim bliźnim... /.../

/.../ Działo się to po okresie Jego największych rozczarowań, które, jak mówił, przyniosła Mu służba krajowi w organizacjach społecznych i politycznych. Dziś, po latach, gdy patrzę na portret Profesora, pierwszy z wiszących w galerii założycieli i dziekanów obecnego Wydziału Elektroniki i Technik Informatycznych Politechniki Warszawskiej, i widzę Jego pogodną twarz z ciepłym uśmiechem życzliwych oczu, mam zawsze w pamięci tę scenę i te słowa dające dość młodemu wówczas człowiekowi drogowskaz ku lepszemu życiu. /.../

Jacek Szpotański: /.../ Był odważnym i niezłomnym w swym postępowaniu – Człowiekiem wielkiego serca i mocnego charakteru. Szedł prostą drogą, której celem była zawsze wielka Polska i jej dobro, Ojczyzna wszystkich Polaków bez względu na ich światopogląd, Ojczyzna, której poświęcił całe swoje życie. Wiedział jak mało kto, kiedy można powiedzieć tak, a kiedy trzeba powiedzieć nie. Stanowisko takie wynikało z ogromnego doświadczenia głębokich przemyśleń i prawości charakteru. Był obdarzony przy tym cnotą, którą może się poszczycić tylko niewielu wielkich ludzi: był skromny i ogromnie pracowity, był skarbnicą wiedzy o trudno mierzalnej granicy zainteresowań. /.../

Andrzej Wernic: /.../ Skromność życia, a nie życie ponad stan – stanowiła jedną z Jego postaw. Stąd też nie wykorzystywał nigdy swoich stanowisk dla celów osobistych. Odmawiał przyjęcia należnych z tej racji przywilejów i apanaży. Nigdy nie stronił od ludzi, wrażliwy na krzywdę i wszelkie zło. Ale lubił być samotny. Nawet wtedy, gdy zajmował wysokie i odpowiedzialne stanowiska, często można było spotkać Go na ulicach Warszawy, w sklepach, w księgarniach. Był bowiem uważnym obserwatorem codziennego życia miasta i jego mieszkańców. Nie lubił też wysługiwać się innymi, stąd wszystko załatwiał sam, spełniając także funkcję własnej sekretarki. Wrażliwość na niesprawiedliwość, ludzką niedolę sprawiła, że jako działacz państwowy, domagał się ukarania winnych. Podkreślał moralne skutki błędów i wypaczeń. Jego głos kierowany do przywódców partii i rządu – pozostawał jednak bez odpowiedzi. /.../

/.../ Podniesienie moralne społeczeństwa uważał Profesor za podstawowy obowiązek, a doniosłość tej ważkiej sprawy musi sobie uświadomić całe społeczeństwo. Bowiem bez usunięcia łamania podstawowych norm współżycia oraz kłamstwa i obłudy, nie rozwiąże się trudności gospodarczych. Martwiła Go jednak niska kultura pracy i jej jakość. Zwracał też uwagę na pluralizm postaw światopoglądowych w naszym kraju, a także na walory humanistyczne i patriotyczne oraz wieloźródłowy charakter naszej kultury. /.../

TO BYŁ CZŁOWIEK DLA NAUKI

Wspomnienia córki

Tak wspomina swojego Ojca Pani dr **KRYSTYNA ŁUKAWSKA**, jedyna córka prof. Janusza Groszkowskiego.

Małżeństwo moich rodziców było bardzo przykładne. Matka bardzo wcześnie wyszła za mąż – mając chyba 18 lat. Ojciec miał lat 21. Może jest jakaś rodzinna skłonność do szybkiego wydawania się za mąż, bo i ja to zrobiłam wcześniej, i dwoje moich dzieci też. Matka nigdy nie pracowała, zajmowała się domem i godnie reprezentowała ojca. Wielokrotnie podkreślał, jak wiele jej zawdzięcza.

Byłam jedynaczką, ale rodzice wychowywali mnie nie tak jak jedynaczkę. Miałam takie sportowe wychowanie harcerskie. Nie było tak, jak w innych rodzinach, że tatuś przychodzi z pracy, bierze córeczkę na kolana. Tego nie było. Ale rodzice dali mi duże możliwości, wpoili ideały, które mi pozostały. Uczęszczałam do gimnazjum im. Cecylii Plater-Zyberkówny. To była bardzo dobra szkoła i rodzice jej zawierzyli. Byłam

w harcerstwie, wyjeżdżałam na obozy. W domu wszystko było w rękach mojej matki. Dla niej osoba ojca była zawsze na pierwszym miejscu. Do mnie zawsze się mówiło: „bo tatuś musi..., bo dla tatusia...” Byłam więc może troszkę na drugim planie, ale nie żałuję.

Czy w domu było tak, że ojciec pracował w gabinecie i Pani jako dziecku nie wolno było mu przeszkadzać ?

Wolno mi było, ale ja nie przeszkadzałam. Byłam taka, że nie przeszkadzałam. Ojciec bardzo lubił, jak zadawałam pytania, szczególnie w jego dziedzinie. Oczywiście interesował się mną, ale był tak pochłonięty nauką i tak szalenie pracowity, że praktycznie na te sprawy nie miał czasu. Woził mnie do szkoły na Piękną samochodem i wtedy rozmawialiśmy.

Do kogo udawała się Pani z kłopotami, do matki czy do ojca?

Matka była bardziej surowa. Byłam przykładną uczennicą, ale dla matki nie liczyły się stopnie średnie, musiały być bardzo dobre. Jeżeli więc trafiła mi się jakaś dwójka (dawniej nie było jedynek), to wtedy dzienniczek podsuwałam ojcu, który mi go spokojnie podpisywał, nie dyskutując w ogóle na ten temat. Uważał, że widocznie nie jest to aż takie straszne. Matki się bałam, bo zaraz usłyszałabym takie różne uwagi: a nie uczysz się, a nie myślisz itp.

Ojciec był bardzo wyrozumiały, zresztą później był wyrozumiały dla swoich studentów i nie lubił im dawać złych stopni. Uważał, że jeżeli student źle odpowiadał, to znaczy, że profesor nie wytłumaczył jak należy i trzeba doprowadzić do tego, żeby ten student zrozumiał. Nie, żeby dać mu dwóję, tylko żeby był po prostu dobrze nauczony.

Ojciec był wyrozumiały i nie brał Pani na kolana. Co jeszcze utkwilo w pamięci dziecka?

Okres dzieciństwa i wczesnej młodości przypominam sobie jako czas nauki, a ojca pracy wytężonej. Ojciec wiecznie w swoim zakładzie, wiecznie w tej Politechnice. Wpadał na 10 minut i już był po obiedzie, już kapelusz na głowę i już go nie było. To był taki człowiek, który był dla nauki. Był bardzo serdecznym człowiekiem, zawsze mogłam się do niego zwrócić, ale był bardzo zajęty. Ja go najbardziej za tę pracowitość szanowałam. I za szaloną sumienność, punktualność i takie zawierzenie ludziom. Ojciec uważał, że w ogóle nie ma złych ludzi na świecie, że wszyscy są dobrzy i tylko okoliczności sprawiają, że ludzie mogą w taki lub inny sposób postępować. To jakoś też utrwalił we mnie, dokładność, sumienność, punktualność. To mi w życiu procentowało.

Ojciec Pani pracował codziennie, ale były niedziele, były święta, były wakacje...

Z okresu mojego dzieciństwa pamiętam wyjazdy do Żabieńca. Ojciec miał taką starą kamerę, stary aparat projekcyjny, więc tam robił zdjęcia. Były też wyjazdy na rowerze. Ale każdą wolną chwilę ojciec poświęcał mimo wszystko książce i nauce.

Pani młodość przypadła na okres wojny i okupacji.

Miałam 15 lat, kiedy wybuchła wojna. Pojechaliśmy do Lwowa, bo na Politechnice Lwowskiej ojciec mój dostał Katedrę. Wiosną 40 roku ostrzegano ojca, że rodzinie grozi wywóz na Syberię. Wtedy wróciłam z matką. Fakt, że następnego dnia zgłosili się wojskowi i pytali o nas. Ale myśmy już wtedy przekroczyli granicę.

W czasie okupacji zdałam maturę i na tajnym uniwersytecie zaliczyłam dwa lata medycyny. Okres okupacji był jednak dosyć trudny. Ojciec też był przecież w konspiracji i ja byłam w konspiracji. Ale my nie wiedziałyśmy, co robi ojciec. Ja informowałam na tyle, żeby się rodzice nie denerwowali. Jak wybuchło powstanie, powiedziałam tylko, że wychodzę. Kiedy się żegnałam, w domu był nastrój podniosły, ale nie było żadnej dyskusji na ten temat. Właściwie o działalności ojca w dziedzinie „V” i o tych wszystkich ojca sprawach w radiostacji – to ja się dowiedziałam dokładnie już przed samą jego śmiercią.

We wrześniu 1944 roku wyszłam za mąż. O naszym ślubie, który odbył się w Piastowie, zawiadomiliśmy rodziców drogą listowną. Rodzice byli wtedy koło Ojcowa, w majątku u państwa Nowaków. Bardzo sympatycznie zresztą ten okres wspominali.

Trudne powojenne lata nie sprzyjały raczej cementowaniu więzi rodzinnych.

Po wojnie, gdy wznowiłam studia medyczne, byłam już matką. W 1950 roku urodziła się córka, a w 1953 syn. W tym okresie zrobiłam dyplom. Wtedy kontakt z rodzicami był dosyć luźny, bo ja po prostu nie miałam czasu, żeby się z nimi widywać. Pracowałam w instytucie naukowym, w Poradni Onkologicznej, w spółdzielni, pełniłam dyżury.

Tak mniej więcej to życie nasze wyglądało. Bardzo była pielęgnowana tradycja świąt. Do tego przywiązywaliśmy wielką wagę. Te wszystkie gwiazdki, te wszystkie wnuki, później prawnuki; wszyscy się schodzili. Spotykaliśmy się u mnie, bo mnie było łatwiej święta zorganizować.

Później były wakacje w Konstancinie. Tam jest letni domek przeniesiony z Ujazdowa i zmodernizowany. To była po prostu taka leśniczóweczka, jak ja to nazywałam. Mój mąż, architekt, trochę go przebudował i tam rodzice spędzali okres wakacji, jak ojciec przeszedł na emeryturę, jak był po zawale. Tam bardzo lubił przyjeżdżać mój syn, też lekarz chirurg. Lubili z ojcem dyskutować o samochodach, bo jeden i drugi mieli podobne hobby. Tam też przyjeżdżały nasze wnuki, a ojca prawnuki.

Jeszcze jest ten domek?

Tak, po śmierci matki dałam go synowi, który koniecznie chciał tam zamieszkać. On go jeszcze rozbudował, zmodernizował, dał ogrzewanie i tam zamieszkał na stałe z całą rodziną. Ma trójkę dzieci.

Powiedziała Pani, że dopiero przed śmiercią ojca dowiedziała się Pani o jego konspiracyjnych działaniach.

Ja mam taki niedosyt, że mimo wszystko za mało ojca o pewne sprawy wypytywałam. Za mało. Widocznie nie było to w mojej naturze, żeby więcej jeszcze pytać. Bo dopiero od 1975 roku, jak mój ojciec miał zawał po słynnej sprawie Petrysa, po tym, jak złożył już rezygnację z funkcji posła, wtedy zaczął z nami w ogóle na ten temat rozmawiać. Dochodziło do sprzeczek z moim mężem, który miał bardziej realne podejście do ludzi, do życia. Zawsze mój mąż tłumaczył ojcu, że ludzie nie są tak dobrzy, jak się ojcu wydaje, że może się kiedyś na swoim udziale we władzy bardzo zawieść. Ojciec za bardzo wierzył i dlatego dosyć długo pełnił te funkcje. Aż do momentu, kiedy sam się przekonał, jak jest.

Czy któreś z wnuków, czy prawnuków przejęło pasję naukową dziadka?

Uważam, że ja zrobiłam w życiu to, co mogłam zrobić, więcej już nie byłam w stanie. Może mój wnuk, Piotruś. On się interesuje informatyką i tymi wszystkimi sprawami. Jest już bardzo mądry w tej dziedzinie. Bywa zapraszany do szkół, które noszą imię mojego ojca, jest bardzo dumny ze swojego pradziadka i wydaje się, że to właśnie on przejął pasję badawczą.

Dziękuję bardzo, że zechciała Pani przybliżyć nam postać Pani ojca.

A ja muszę powiedzieć, że uczniowie i koledzy mego ojca bardzo pięknie umieli zgromadzić i wyeksponować pamiątki po ojcu. Jestem wzruszona uroczystościami, pełna uznania. Tym bardziej, że mój ojciec był bardzo skromnym człowiekiem.

Rodzina Groszkowskich

Pochodzi ze wsi dziedzicznej zwanej Groszki, leżącej w powiecie orłowskim dawnego województwa łęczyńskiego. Wieś Groszki znajduje się na obecnej autostradzie: Kutno-Łowicz w odległości kilkunastu kilometrów od Kutna w kierunku na Łowicz.

Teodor Groszkowski – ojciec Profesora – urodzony w 1863 roku zawarł związek małżeński z Marią Lewkowicz (1887-1906), córką znanego przemysłowca warszawskiego. Z małżeństwa tego urodził się w marcu 1898 roku Janusz. Jako datę urodzin Profesora podaje się przełom nocy 20/21 marca 1898 roku. Była to noc z niedzieli na poniedziałek. Ojciec

Profesora zdecydował i podał do ksiąg metrykalnych poniedziałek 21 marca. Twierdził bowiem, że jest to pierwszy dzień wiosny oraz poniedziałek zapowiadający szczęśliwe życie noworodka. Profesor został osierocony w wieku ośmiu lat przez matkę, która spłonęła w pożarze (1906r.). Ojciec Profesora – Teodor – zmarł w roku 1930 przeżywszy 67 lat.

Profesor Janusz Groszkowski zawarł związek małżeński w roku 1922 z Marią z domu Komicz. Ze związku tego powstała spora grupa potomstwa, która śladem Profesora poświęciła się różnym dziedzinom nauki i praktycznym jej zastosowaniom. W roku 1926 przyszła na świat córka Profesora, Krystyna, pracownik Polskiego Instytutu Onkologicznego im. Marii Skłodowskiej-Curie. W instytucie tym uzyskała stopień naukowy doktora broniąc w roku 1965 też rozprawy: „Ginekologia onkologiczna w zakresie stadium raka”. Promotorem doktorantki była profesor Ludwika Tarłowska.

Pani Krystyna zawarła związek małżeński w roku 1944 z mgr inż. architektem Władysławem Łukawskim. Dzieci z tego małżeństwa poszły śladem swego Dziadka i poświęciły się działalności naukowej. Starsza wnuczka Barbara (ur. 1950) ukończyła studia na Uniwersytecie Warszawskim specjalizując się w filologii orientalnej; młodszy wnuk Krzysztof (ur. 1953) ukończył studia medyczne i uzyskał stopień naukowy doktora w dziedzinie chirurgii.

Opracowano na podstawie materiałów zamieszczonych na stronie PW
<http://www.pw.edu.pl/miesiecz/1998/wydspegr/>